



KATARZYNA MAJGIER

GRA
POZORÓW



KUCHENNYMI DRZWIAMI





KATARZYNA MAJGIER

GRA
POZORÓW

KUCHENNYMI DRZWIAMI

oddechy

Katowice 2024

Text © copyright by Katarzyna Majgier 2016
Digital edition © copyright by Aleksandria Media sp. z o.o. 2024

Projekt okładki: Anna Slotorsz
Przygotowanie edycji elektronicznej: Emilia Domańska

ISBN 978-83-67940-64-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tego pliku nie może być rozpowszechniana i udostępniana publicznie w jakiegokolwiek formie zapisu i w jakikolwiek sposób bez zgody właściciela praw autorskich.

oddechy


Wydawca: Oddechy
Aleksandria Media sp. z o.o.
al. Wojciecha Korfantego 138
40-156 Katowice



I

– Na świecie wszystko pozostaje w równowadze – twierdziła Bielacka, kucharka od Rozchodowskich. – Każdego dnia ktoś się rodzi, ktoś umiera, ktoś zabija, ktoś kradnie... a wszystko jest w równowadze. Jak ktoś coś dostaje, kto inny to oddaje. Jak ktoś kradnie, kto inny zostaje okradziony. Jak ktoś się rodzi, kto inny musi umrzeć, żeby zrobić mu miejsce na świecie. Jak ktoś popada w niedolę, to do kogo innego uśmiecha się szczęście...

Podkuchenna Zofia Nowakowska rozmyślała o tym, patrząc w ciemność za oknem i czekając na świt. Zastanawiała się, kogo spotkało szczęście w zamian za jej niedolę? I co takiego przytrafiło się temu komuś, a może dopiero przytrafi? Sądząc po wielkich kłopotach, w jakich się znalazła, musiało to być coś wspaniałego...

Rozważała sprawy życia i świata, żeby nie myśleć o swojej niedoli, bo była pewna, że tej nocy nie zaśnie. Przypomniało jej się zdanie, które Bielacka usłyszała kiedyś w kościele, a potem wielokrotnie powtarzała, żeby potwierdzić swą teorię o równowadze na świecie. Brzmiało ono: „Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś”.

Wypowiedział je ksiądz na ambonie, więc kucharka była przekonana, że tak napisano w Biblii. A Pismo Święte, jak wiadomo, nigdy się nie myli. Dlatego od tamtej pory, gdy ktoś podważał jej teorię równowagi, sięgała po ten argument i nikt już z nią nie dyskutował.

Zofię wychowano w przekonaniu, że nieszczęścia ściągają na siebie ludzie, którzy postępują wbrew zasadom. Sami są sobie winni i ponoszą zasłużoną karę za swoje nieposłuszeństwo. Człowiek, który żyje tak, jak trzeba, unika kłopotów.

Dlatego starała się być dobrą dziewczyną, o której nie można powiedzieć złego słowa. Czemu więc ją to spotkało? Nie rozumiała...

Przez dwadzieścia jeden lat niełatwego życia nauczyła się, że najlepszy sposób, aby poradzić sobie z problemami, to nie myśleć o nich. Często słyszała, że kiedy człowiek weźmie się do roboty, zapomina, że mu źle. Jeśli pracuje naprawdę ciężko, nawet o tym nie wie, bo skupia się na pracy, a nie na sobie.

A kiedy akurat nie pracuje, powinien wznieść swoje myśli ku czemuś wyższemu – na przykład się pomodlić. Zofia ostatnio dużo pracowała i się modliła. Dzięki temu udawało jej się nie koncentrować na kłopotach. Ale to ich nie rozwiązało...

Nie zauważyła, kiedy zasnęła, a gdy otworzyła oczy, było już jasno. Musiała dochodzić piąta, co oznaczało, że przespała noc. Zdziwiło ją to. Spodziewała się bezsenności, bo nigdy w życiu nie była tak zdenerwowana. Nigdy nie została tak upokorzona i tak niesprawiedliwie potraktowana.

Łzy napłynęły jej do oczu na samo wspomnienie, ale powstrzymała się od płaczu, aby nie obudzić śpiących jeszcze Jagusi, Hani i Magdy. Chciała uniknąć ich pytań. Wolała odejść bez pożegnania.

Wstała cicho i zaczęła się ubierać, ciągle dziwiąc się, że przespała tę noc.

„Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś”, przypomniała sobie i pomyślała, że widocznie tej nocy zamiast niej nie spał kto inny.

* * *

Człowiekiem, który nie spał tej nocy, był Teodor Lutoborski.

Pisał testament, a raczej dopracowywał jego ostateczną wersję.

Sporządzenie testamentu to poważna sprawa, gdy ma się pieniądze albo pazernych krewnych. Teodor Lutoborski miał jedno

i drugie, więc podszedł do sprawy z należytą starannością. Chciał jak najlepiej rozdzielić swoje dobra, nagradzając prawych i karząc niegodziwych. Poświęcił dużo czasu, aby zorientować się, kto jest jaki...

Lutoborski odziedziczył duży majątek, który jeszcze pomnożył. Nie miał dzieci i wiedział, że na samą myśl o tym wielu jego krewnych mimowolnie się uśmiecha. Jego żona zmarła przed niemal dwudziestoma laty, pozostawiając mu w spadku niemały posag, i Teodor wiedział, że ta myśl również wywołuje błysk radości w niejednym oku. Odczuwał pewną satysfakcję, wyobrażając sobie, jak zgasną błyski w tych oczach i mimowolne uśmiechy, gdy zostanie odczytany jego testament.

Z częścią krewnych poszło mu łatwo. Listę tych, którym chciał przytrzeć nosa, otwierały dwie kuzynki: Jaruntowska i Marcinkowska. Obie krążyły wokół niego jak kruki nad padliną, nieustannie intrygując przeciwko sobie nawzajem. Po śmierci żony próbowały z nim zamieszkać, aby „prowadzić mu dom”. Kiedy to im się nie udało, nachalnie go odwiedzały i śledziły, czy nie szuka nowej żony, z którą spłodzi spadkobierców. Dobrze wiedział, że zrobiłyby wszystko, by taką kandydatkę przepędzić na cztery wiatry.

Teodora trochę nawet bawiło obserwowanie kuzynek. Po śmierci ukochanej żony nie myślał o znalezieniu jej następczyni. Owszem, lubił kobiety, jednak uważał, że aby napić się mleka, nie trzeba kupować krowy.

Dla kuzynek przygotował odpowiednie zapisy w swoim testamencie. Portret prababki Salomei, według rodzinnych podań namalowany przez samego Bacciarellego, o który zabiegała kuzynka Jaruntowska, zapisał Marcinkowskiej. Z kolei rodowe srebra, które upodobała sobie Marcinkowska – Jaruntowskiej. Gdyby miały dość rozumu, dogadałyby się i wymieniły, ale Teodor był pewien, że każda będzie pilnować swojego zapisu – na złość tej drugiej.

Z pozostałymi potencjalnymi spadkobiercami sprawa nie była taka prosta. Sporządził dokładny spis wszystkich krewnych i zdziwił się, jak liczna jest jego rodzina. Rozrysował dokładne drzewo genealogiczne, zebrał informacje z ksiąg parafialnych, rodzinne historie i głęboko skrywane tajemnice.

Pomagał mu w tym wierny Marcel, wypytując służbę, wścibskie sąsiadki i sąsiadów skorych do plotek, gdy posmakują trunku. Tak znaleźli troje nieślubnych dzieci kuzynów Lutoborskich. Bazyli miał córkę z dawną służącą, a Tymoteusz dwóch synów z jakąś chłopką. Obaj wyparli się tych dzieci, odmawiając im wsparcia, ale uchodzili za wzorowych ojców dzieci, które spłodzili z prawowitymi małżonkami. Teodor pominął w testamencie obu wiarołomców, wyposażając dzieci, które oni zaniedbali.

Pominął też wielu, którzy mieli na sumieniu coś, co zdaniem Teodora sprawiało, że nie zasługują na wsparcie. Pocieszało go jednak, że ma też krewnych, z których może być dumny. Każdego z nich odwiedził w ostatnich miesiącach, aby zorientować się, jak żyją, i odpowiednio rozdzielić majątek. Uwzględnił w testamencie także przyjaciół i służbę. Przepisując go na czysto, miał nadzieję, że nawet jeśli niektórzy po śmierci go przeklną, więcej będzie tych, którzy będą wspominać go z wdzięcznością.

Najtrudniejszym zadaniem okazało się znalezienie głównego spadkobiercy, któremu mógłby zapisać majątek w Korczycach i dom w Krakowie, przy Grodzkiej, w którym spędził tę bezseną noc. Długo nikt spośród znanych mu krewnych nie wydawał mu się odpowiedni, aż poznał Floriana Stawskiego, syna kuzynki, swego czasu praktycznie skreślonej przez krewnych z rodzinnych annałów.

Aniela Lutoborska, pochodząca z uboższej gałęzi rodu, miała szczęście – rodzina zaplanowała dla niej całkiem przyzwoitą przyszłość u boku starzejącego się ziemianina, który mimo pięćdziesiątki na karku pozostawał kawalerem z powodu zaburzeń psychicznych mogących zniechęcić potencjalne żony. Jednak panna z tak skromnym posagiem nie powinna kręcić nosem, przeciwnie, oczekiwano wręcz, że będzie wdzięczna. Kuzynka Aniela nie była. Odmówiła, a ponieważ nikt nie wziął tego poważnie, bo kto by słuchał, co opowiada roztrzepana młoda dziewczyna, pewnego dnia po prostu wymknęła się z domu i nie wróciła. Potem poślubiła jakiegoś artystę bez grosza, ale nie uszło jej to płazem. W tej rodzinie od dziesięcioleci nie było skandalu – każdą brudną sprawę szybko przysypywano ziemią albo groszem.

Aniela wcześniej owdowiała i niewiele później umarła, pozostawiając dorastającego syna. Florian wychował się w surowych warunkach, nauczył się więc znosić trudy i nieszczęścia. Gdy Teodor usłyszał jego historię, wysłał chłopca do szkoły, gdzie ten bardzo dobrze sobie radził. Po zakończeniu nauki znalazł pracę w urzędzie i gdy niedawno Teodor poznał go bliżej, spodobał mu się. Zarabiał na siebie, w dodatku żył skromniej, niż musiał, w wynajętym pokoju na Zwierzyńcu, bo oszczędzał na własne mieszkanie.

Teodorowi przypadł do gustu rozsądek i zaradność Floriana, a także jego poczucie humoru i fantazja połączona z trzeźwym spojrzeniem na świat. Obaj mieli szerokie horyzonty i wiele wspólnych zainteresowań, więc się polubili.

Któregoś wieczoru, przy winie, Florian wyznał wujowi, że choć pracuje w urzędzie, zarabia i oszczędza, bo chce mieć własny kątek, to gdy tylko będzie go na to stać, zajmie się sztuką.

Teodor też lubił sztukę. Szczególnie malarstwo. Dobrze wiedział, że portretu prababki Salomei nie namalował żaden Bacciarelli i znał rzeczywistą wartość dzieł przekazywanych w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Chętnie kupował obrazy, które mu się podobały, a które, jak mniemał, z czasem miały nabrać wartości. Teraz wiedział, komu będzie mógł je zapisać, bo pozostali krewni znali się na sztuce jak kura na pieprzu.

– Chciałbym malować, pisać poezję i prozę, komponować muzykę... – powiedział Florian. – Właściwie wszystko to już robię, ale tylko w wolnych chwilach... – dodał z wahaniem, przyglądając się reakcji wuja.

Ten uśmiechnął się pod wąsem, więc zachęcony Florian kontynuował:

– Najbardziej kocham teatr. Chciałbym grać na scenie i pisać sztuki. Jak Szekspir... – Urwał, bo zawstydził się tego porównania. Było bezwstydnie megalomańskie.

– Czemu akurat teatr? – zainteresował się Teodor.

– Teatr łączy w sobie wszystkie inne sztuki – odparł Florian. – Jest tam poezja, wielkie powieści i dawne legendy. Jest też muzyka, śpiew, taniec, a jeśli sztuka jest dobrze zrobiona, przypomina obraz...

Ruchomy obraz... Marzą mi się takie właśnie sztuki, które oglądałoby się jak żywe obrazy, istniejące tylko w czasie przedstawienia...

Teodorowi podobały się pomysły Floriana i jego podejście do życia. Nowo odkryty krewniak stanowił ciekawe połączenie rozsądnego urzędnika i artysty wizjonera, bezpośredniego i miłego w obejściu. Teodor uznał, że gdyby miał syna, chciałby, żeby był właśnie taki jak Florian.

Postanowił, że zapisze mu majątek w Korczycach, dom na Grodzkiej, wszystkie dzieła sztuki oraz większość pieniędzy.

Nad ranem jeszcze raz przeczytał ostateczną wersję testamentu i odetchnął z ulgą. Popatrzył przez okno, na słońce, które wynurzało się zza wiekowych budynków, i ponownie zaczął przepisywać go na czysto.

Nie był pedantem, ale to miał być ostatni dokument, jaki po nim pozostanie. Dla większości z tych, którzy się z nim zapoznają, będzie to najważniejsza rzecz, jaką napisał. I najlepiej zapamiętana.

* * *

Zapowiadał się piękny majowy dzień.

Zosia wymknęła się cicho kuchennymi drzwiami. Nikt jeszcze nie krzątał się po obejściu, choć kury już piałły. Teraz to one budziły się najwcześniej, choć ciągle pamiętano, że dawniej przed kurami wstawał Antoni Rozchodowski. Starannie się ubierał i obchodził gospodarstwo, upewniając się, że wszystko jest tak, jak należy. I było.

Każdy wiedział, że pan Antoni wstaje przed świtem, więc trzeba dopilnować swoich obowiązków. Przez ponad czterdzieści lat gospodarstwo funkcjonowało jak dobrze naoliwiony mechanizm. Za życia pana Antoniego nikomu nawet do głowy by nie przyszło coś zaniedbać, zaspać albo się obijać.

Teraz, cztery lata po jego śmierci, wszystko stopniowo pogrążyło się w chaosie. Nikt już nie oliwił mechanizmu, który zaczynał się zacinać i psuć.

Pani Eufemia zazwyczaj długo spała – w trosce o swoją urodę, o którą dbała nawet teraz, będąc już babcią dorosłych wnuczek. Od lat, gdy zabito cielaka, dostawała świeże, jeszcze ciepłe mięso i robiła sobie z niego okłady. Podobno tym zabiegom zawdzięczała młody wygląd przez długie lata.

Jej syn Karol nie umiał dbać o gospodarstwo, a jego żona nawet się nim nie interesowała. Często narzekano na nich i żałowano, że z dwóch synów pana Antoniego to właśnie Karol przejął majątek. Uważano, że lepszym gospodarzem byłby jego brat, Henryk, ale o niego upomniał się Pan Bóg. Henryk – bystrzejszy, silniejszy i bardziej przedsiębiorczy z braci Rozchodowskich – od dziecka czuł powołanie. Zawsze chciał być księdzem i nim został. Teraz był już prałatem w Krakowie i mieszkańcy Zbuczyny pękali z dumy. Jednak to, jak daleko zaszedł, uświadamiało im, jak dużo mógł działać tutaj.

Zosia nie pamiętała już pana Antoniego. Przyszła na służbę do Rozchodowskich niedługo po jego śmierci, kiedy pani Eufemia sprowadziła z miasta pana Karola z żoną i córkami. Kucharce przybyło wtedy pracy, więc postarano się dla niej o podkuchenną.

Teraz żałowała, że przyjęła pierwszą posadę, jaka się trafiła po śmierci poprzedniej pracodawczyni. Nie mogła jednak pozwolić sobie na pozostawanie bez zarobku. W dodatku u Rozchodowskich miała mniej obowiązków, a zarabiała więcej niż w poprzednim miejscu, u Gulasowej.

Początkowo to sobie chwaliła. Po dziewięciu latach służby u ascetycznej wdowy, sypiania na wąskiej ławie i niedojadania była zachwycona warunkami, jakie tu zastała. Zaprzyjaźniła się z innymi służącymi, a one dziwiły się, że nigdy wcześniej nie chodziła na potańcówki ani nie miała ładnych, kolorowych rzeczy. Najpierw pożyczaly jej własne, a potem Zosia zaczęła odkładać i dorabiać, żeby też sobie coś kupić.

Nauczyła się tańczyć, bywała na weselach i spotkaniach przy muzyce. Zaczęła żyć jak inne dziewczęta w jej wieku.

Znalazła sobie nawet narzeczonego. Klemensa.

Na sam dźwięk tego imienia Zosia rumieniła się i uśmiechała mimo woli. Klemens był przystojny, męski i miał w spojrzeniu coś, co

każdą kobietę chwyciło za serce. Podobał się dziewczynom, a wybrał właśnie ją.

Jesienią Klemens miał wrócić z wojska i ożenić się z nią.

Czekała na to niecierpliwie przez długie trzy lata, ale teraz...

Teraz wołała się nad tym nie zastanawiać. Lepiej było czymś się zająć...

* * *

Gdy Teodor Lutoborski skończył przepisywać testament, ogarnęła go senność, którą nocą udawało mu się odpędzać.

Dochodziła szósta, za oknem wzmagał się ruch. Kraków nigdy nie zasypiał. Nawet w spokojnych kamienicach dało się to zauważyć. Dniem i nocą miasto zaglądało w okna i pukało w szyby. Służące i gospodynie szły teraz na Rynek albo Kleparz, gdzie rozstawiano już towary. Robotnicy i rzemieślnicy zdążali do fabryk i warsztatów, a nocne marki wracały do domu.

Lutoborski rzadko wstawał przed ósmą, więc jego służba też nie zrywała się skoro świt. Najwcześniej budziła się kucharka, która lubiła zaczynać dzień od mszy. Poprzedniego dnia miała jednak wychodne i jak zwykle poszła do rodziny w Podgórzu, gdzie chętnie zostawała na noc i wracała następnego ranka, po drodze zachodząc do kościoła.

Pierwszy zbudził się więc Marcel. Słyszając kroki swojego pracodawcy na skrzypiącej podłodze, szybko zerwał się z łóżka i ubrał.

Marcel poznał Lutoborskiego, gdy jako ośmiolatek służył u zdziwaczałej alkoholiczki, przekonanej, że nikt nie wie o jej nałogu, a ludzie oglądają się za nią, bo jest spowinowacona z Branickimi i Poniatowskimi. Chłopiec znosił jej wybuchy gniewu, ale powoli stawał się kłębkim nerwów.

Lutoborski towarzyszył krewnym jego pani, którzy dowiedziawszy się o jej breweriach, przyjechali zabrać ją do siebie. Chłopca nie wzięli ze sobą. Teodor odwiózł go więc do rodziny. Okazało się jednak, że krewni Marcela uważają, iż jako sierota

powinien już zarabiać na siebie. Przyjął więc chłopca na służbę. Ten, po raz pierwszy w życiu syty i bezpieczny, od razu się do niego przywiązał. Był gotów zrobić wszystko dla pana, który zapewnił mu warunki, jakie głodnemu ośmiolatkowi wydawały się szczytem luksusu: ciepły dom, dobre jedzenie i – co najważniejsze – spokój.

Początkowo rozglądał się z lękiem i odruchowo kulił przy każdym gwałtownym ruchu, a podczas posiłków rzucał się na jedzenie przestraszony, że piękny sen wkrótce się skończy. Potem jednak uspokoił się i każdego dnia dokładał starań, żeby wszyscy byli z niego zadowoleni.

Lutoborski zorientował się, że Marcel jest bystrym dzieckiem. Nauczono go pisać, czytać i posługiwać się wyrafinowanym językiem. Z czasem to on odpowiadał na większość listów Lutoborskiego, które ten tylko podpisywał. Znano go jako sekretarza Teodora, ale Marcel sprzątał też gabinet swojego pana, podawał mu posiłki i dbał o jego garderobę. Lutoborski ufał mu bezgranicznie.

Teraz postanowił napić się kawy, by pokonać senność, nie chciał jednak tylko po to budzić Marcela. Cicho zszedł do kuchni, ale Marcel już tam był i rozpałał ogień.

– Nie jest pan chory? – Przyjrzał się badawczo Lutoborskiemu.

– Nie. Po prostu... szkoda mi dnia – odparł tamten. – Tak pięknie się zaczyna.

Marcel podniósł głowę znad paleniska. Jego chlebodawca nie zwykł mówić takich rzeczy, wydało mu się to więc niepokojące.

– Na pewno dobrze się pan czuje? – upewnił się, choć wiedział, że Lutoborski nie jest zdrowy. Jakaś choroba toczyła go od dłuższego czasu, ale nie mówił o tym, więc Marcel nie pytał.

Choć był jeszcze młody, rozumiał, że o niektórych chorobach się nie rozmawia. Podejrzewał, że jego pan może mieć jakąś wstydliwą przypadłość, więc kulturalnie udawał, że niczego nie podejrzewa.

Teraz też po prostu milczał.

* * *

Zosia podobnie jak Marcel była sierotą. Miała niespełna dziewięć lat, gdy umarł jej ojciec, dozorca w kamienicy na Stradomiu. Wraz z matką musiały opuścić służbowe mieszkanie, przeniosły się więc do jej siostry, która niedługo wcześniej także owdowiała i mieszkała w domu po ich rodzicach.

Ciotka Marcjanna przyjęła je pod dach z nieukrywaną niechęcią. Podkreślała, że sama też jest wdową, i to nawet w gorszej sytuacji, bo ma aż czworo dzieci.

Matka Zosi, cicha, zahukana kobieta, nie wypominała jej, że mieszka w domu po wspólnych rodzicach, ani nie broniła córki, którą ciotka i jej dzieci pomiały. Starła się pomagać w gospodarstwie i dorabiała, czym mogła, ale nikła w oczach i zmarła kilka miesięcy po mężu.

Zaraz po pogrzebie ciotka Marcjanna znalazła Zosi pracę u samotnej wdowy. Służba nawet spodobała się dziewczynce. Wspomnienia krakowskiego mieszkania, ciasnego, ciemnego i wilgotnego, ale będącego jej domem, już się zacierały i lepiej pamiętała ponure miesiące spędzone u ciotki, gdzie traktowano ją jak popychadło.

Gulasowa również nie była aniołem, choć tak jej się wydawało. Każdego ranka zaganiała Zosię do sprzątanía, bo lubiła czystość. Jako kobieta bardzo oszczędna, gospodarna i pobożna kształciła te cechy także w Zosi.

Dzień zaczynały i kończyły modlitwą. Choć do kościoła trzeba było iść dwa kilometry, latem chodziły tam codziennie, a zimą – nawet przy największych mrozach – w każdą niedzielę i święta. Regularnie się spowiadały, przyjmowały komunię i surowo przestrzegały wszystkich postów.

Niedziele Zosia mogła spędzać z rodziną, ale ograniczała te odwiedziny do minimum. Wolała pozostać u wdowy, która dbała o to, aby „dzień święty święcić” i Zosia wykonywała wtedy tylko niezbędne obowiązki. Po południu odwiedzały je sąsiadki i razem odmawiały różaniec albo czytały żywoty świętych i plotkowały.

Zofia nie umiała czytać, ale lubiła słuchać tych historii. Żywoty świętych znała niemal na pamięć. Ukształtowały jej wyobrażenie o świecie i była pewna, że cisi i skromni ludzie, którzy boją się Boga i cierpią w milczeniu, zostaną nagrodzeni. Starła się żyć w ten sposób i cierpliwie czekała na nagrodę.

Zupełnie się nie spodziewała, że może spotkać ją kara przewidziana dla złych dziewcząt, które są próżne, uganiają się za chłopakami i nie spowiadają regularnie...

* * *

Teodor Lutoborski włożył swój najlepszy garnitur. Obstał go u świetnego krawca, u którego samo branie miary trwało wieki. Jednak było warto – strój leżał doskonale.

Lutoborski zawsze dbał o siebie, a tego dnia chciał wyglądać wyjątkowo dobrze. Umówił się na spotkanie o ósmej, ale chciał jeszcze pójść na spacer.

Zjadł śniadanie przygotowane przez Marcela, wziął laskę i wyszedł.

* * *

Od czasu, gdy wyprawiła dziewięcioletnią Zosię na służbę, ciotka Marcjanna powtórnie wyszła za mąż i znów owdowiała. Z drugim mężem miała jeszcze czwórkę dzieci. Razem było ich więc ośmioro.

Zosia przynosiła jej zarabiane przez siebie pieniądze, choć w ostatnich miesiącach zostawiała sobie trochę, nie wspominając o tym ciotce. Koleżanki twierdziły, że musi uzbierać sobie jakiś choćby najskromniejszy posag, bo jak bez tego wyjdzie za mąż?

Nie zdążyła wiele odłożyć, ale ciągle męczyły ją wyrzuty sumienia. Nie była pewna, czy postępuje uczciwie, nie oddając całych zarobków ciotce. Szczególnie gdy kupowała za te pieniądze coś dla siebie – na przykład nową spódnicę czy kolorowe wstążki. To było takie próżne...

Zosia dotarła do domu ciotki, gdy ta ledwie zdążyła wstać. Po zaniebanym obejściu plątały się młodsze dzieci i kury.

Zajrzała do środka. Panował tam zaduch, latały muchy.

– A ty tu co? – zdziwiła się ciotka Marcjanna. – Nie we dworze? Przecież dziś nie niedziela?

– Już... już tam nie służę – wykrztusiła z lękiem Zofia.

– Czemu? Wyrzucili cię? – Oczy ciotki Marcjanny błysnęły gniewem, a Zosia pożałowała, że do niej przyszła. Od dziecka się jej bała, zwłaszcza gdy ciotka była zdenerwowana. – Coś zrobiła?! Kradłaś?!

– Nie. Nigdy nic nie ukradłam – zarzekała się Zosia.

Ciotka przyjrzała się jej dokładniej i rozgniewała się jeszcze bardziej.

– Nawet jeszcze gorzej – orzekła zbulwersowana. – Hanka, Kaśka, idźcie mi stąd! Ale już! – warknęła na dzieci, które posłusznie wyszły. – Co to za jeden? – spytała surowo Zosię. – Ożeni się z tobą?

– Kto? – spytała przez łzy zdezorientowana dziewczyna.

– No jak to kto? – obruszyła się ciotka. Pokręciła głową i skrzywiła się z niesmakiem. – Toś ty ich więcej miała?! – zakrzyknęła oburzona.

Zosię zatkało z wrażenia.

– Co to za dziewczucha, co nie umie się upilnować? – indyczyła się ciotka. – Taki wstyd! Widać, żeś się wdała w rodzinę ojca, a nie w naszą! – rzuciła, pokazując drzwi siostrzenicy, która łkała niezdolna wykrztusić choćby słowo. – Następna ciotka Nowakowska!

Zosia była zdruzgotana, ale nieszczególnie zaskoczona.

Tak naprawdę nigdy nie łudziła się, że może liczyć na ciotkę Marcjanę. Przyszła do niej, bo nie widziała innych możliwości.

Opuściła już drugi tego ranka dom, z którego ją wyrzuciono, i ruszyła drogą, zastanawiając się, co robić. Zanim doszła do kapliczki na rozstaju dróg, zdała sobie sprawę, że nie ma dokąd pójść.

Musiała przyznać to, co tak długo od siebie odsuwała: jej życie legło w gruzach.

* * *

Punkt ósma Teodor Lutoborski pojawił się u doktora Leona Pawlewicza, znanego w Krakowie lekarza, z którym spotykał się czasem w towarzystwie. Poprosił go o wystawienie opinii o zdrowiu umysłowym.

– Uskarża się pan na coś? – Pawlewicz przyjrzał mu się badawczo, więc Lutoborski tylko się uśmiechnął.

– Nie mam żadnych nerwowych przypadłości, poza tymi, na które cierpi chyba każdy. Choć gdybym chciał się uskarżyć, coś by się znalazło. Na przykład krewni, którzy mogą być niezadowoleni ze spisanego przeze mnie testamentu.

Pawlewicz skinął głową. Rozumiał to.

O dziewiątej Lutoborski miał kolejne spotkanie. Umówiony był na wizytę u doktora Roznera, znanego specjalisty od chorób nerwowych. Jego również poprosił go o zbadanie i wystawienie opinii o zdrowiu umysłowym.

* * *

Zosia siedziała nad brzegiem rzeki i zastanawiała się, co zrobić. Gdy trochę się uspokoiła, poczuła głód. Od rana nic nie jadła, a u Rozchodowskich odzwyczaiła się od ścisłych postów, które Gulasowa urządziła w każdy piątek. Patrząc na wodę, wspominała Klemensa. Lubili razem przesiadywać nad rzeką... No dobrze, byli nad rzeką może dwa razy, ale dla Zosi każda chwila z Klemensem trwała całe wieki, tak wiele razy ją później odtwarzała w myślach.

Odkąd była w nim zakochana, jej życie stało się piękniejsze. Nareszcie miała kogoś, komu na niej zależało. Wyobrażała sobie ich przyszłość, wspólne gospodarstwo, dzieci. Marzył jej się dom o bielonych ścianach, z dużym, jasnym podwórkiem. Zamiataby je kilka razy dziennie, trzymałaby kury, kaczki, gęsi, a w oborze krowy...

Tylko czy teraz Klemens będzie ją chciał?

Prawdę mówiąc, wątpiła w to, gdy przypominała sobie, co kiedyś jej powiedział za stodołą, gdzie razem się wymknęli w czasie

jednej z potańcówek. Wyznała mu wtedy, że jest sierotą bez posagu.

– Nie dbam o to – zapewnił ją. – Dla mnie najważniejszy posag u panny to wianek.

Zarumieniła się wtedy po uszy, a teraz wzdrygała się, gdy o tym myślała. Nie dość, że nie miała posagu, to już nie miała też tego „wianka”.

Nic nie miała...

Rozpłakała się na wspomnienie wydarzeń minionego wieczoru, kiedy Eufemia Rozchodowska wezwała ją do siebie i oświadczyła, że w jej domu nie toleruje się zgorzenia, więc nie ma tam miejsca dla takich jak ona.

Zosi zakręciło się w głowie. Nie miała pojęcia, skąd pani Rozchodowska wie... I kto jeszcze wie, i co właściwie wiedzą...

Ledwie słuchała, gdy pani Eufemia mówiła coś tam o wypłatach i o grzechach. Dotarły do niej dopiero słowa o złym prowadzeniu i obrazie moralności.

Wtedy Zosia spróbowała nieśmiało się bronić.

– Ale to pan Karol... – zaczęła, a wtedy nieruchoma twarz Eufemii Rozchodowskiej zmieniła się nie do poznania. Jakby w okamgnieniu postarzała się o dobre dwadzieścia lat. Pokazały się na niej zmarszczki i plamy ujawniające całą prawdę o wieku Eufemii, która przekroczyła już sześćdziesiątkę, ale wyglądała na znacznie młodszą.

Zosię ta przemiana tak zaskoczyła, że aż się cofnęła.

– Nawet nie próbuj opowiadać takich rzeczy! – syknęła postarzała nagle Eufemia. – Nie próbuj nas pomawiać i rozpowiadać plotki o moim domu i rodzinie! Jedna taka kiedyś próbowała i źle się to dla niej skończyło – powiedziała, cedząc słowa. – Może o niej słyszałaś. Niejaka Butrymówna.

„Wicia Butrymówna!”, przypomniała sobie Zosia.

Wtedy dotarło do niej, że spotkało ją to, co słynną w okolicy Wicię, choć przecież ją ostrzegano i to zaraz, pierwszego dnia, kiedy przyszła tu na służbę.

Pierwszego dnia Jagusia oprowadziła ją po dworku Rozchodowskich i uprzedziła, że Zosia musi pamiętać, żeby zawsze

używać kuchennych drzwi i nigdy nie korzystać z głównego wejścia, bo to najważniejsza zasada pani Eufemii.

– Pilnuje nas z tego obrazu – zachichotała, spoglądając na wiszący na wprost frontowych drzwi portret pięknej młodej dziewczyny. – To ona dawno temu – wyjaśniła, choć nie musiała, bo Eufemia ciągle zachowała wiele z dawnej urody.

Potem, kiedy zostały same, zdradziła Zosi drugą zasadę obowiązującą w tym domu.

– Uważaj na pana Karola.

– A co z nim? – spytała Zosia.

Tamta wzniosła oczy do nieba.

– No wiesz... – szepnęła. – Najlepiej nie zostawaj z nim sama. Zawsze pilnujemy, żeby być co najmniej we dwie.

Zosia musiała się dobrze zastanowić, o co chodziło Jagusi. U Gulasowej nie miała takich problemów, ale coś tam obito jej się o uszy, choć niewiele. Bogobojna wdowa dbała o cnotę Zosi, izolując ją od niektórych tematów i od towarzystwa młodych osób, które mogły je poruszać. Chciała mieć pewność, że w jej domu nie będzie żadnej obrazy moralności, a jej służąca będzie chodzącym wzorem przyzwoitości.

O wielu rzeczach Zosia dowiedziała się dopiero w czasie służby u Rozchodowskich, choć dziewczyny czasem się z niej wyśmiewały, że tylu rzeczy nie wie. Początkowo wstydziła się i rumieniła, co niezmiernie je bawiło. Wyśmiewały się też z jej pobożności i religijnych praktyk.

Owszem, im też nie przyszłoby do głowy nie pójść do kościoła w niedzielę czy święto, nie odmówić pacierza, czy nie pościć w piątek – ale żeby przez cały dzień nic nie jeść? I modlić się aż tyle? Za to nie wiedzieć tak istotnych rzeczy?

Szybko wybiły jej to z głowy, a ona zarzuciła ścisłe posty, zaczęła chadzać z nimi na potańcówki i pierwsza znalazła sobie narzeczonego.

– Bo jesteś najładniejsza – orzekła Hania. – Z taką urodą nawet posagiem nie musisz się martwić. Niejeden pan by cię wziął.

– Pan to może nie. – Jagusia sprowadziła ją na ziemię. – Ale starą panną na pewno nie zostaniesz. Musiałyby wszystkie chłopcy

oślepnąć.

Zosię zawstydzaly te uwagi. Rumieniła się i niezręcznie próbowała odwzajemnić komplementy. Wcześniej nie myślała, że może się podobać. U Gulasowej nawet się nad tym nie zastanawiała, bo to było próżne i stanowiło pierwszy grzech główny. Wygląd nie był ważny, tylko czystość duszy. Uroda mogła sprowadzić grzech i nieszczęście.

Teraz Zosia całkowicie się z tym zgadzała. Uroda sprowadziła na nią nieszczęście.

Zupełnie jak na Wicię Butrymównę, której historię od dobrych dwudziestu lat opowiadano tu młodym dziewczynom.

Wicia Butrymówna służyła u Rozchodowskich i wpadła w oko panu Karolowi, jak każda ładna dziewczyna. Kiedy zaszła w ciążę, pani Eufemia wyrzuciła ją z domu, żeby uniknąć zgorszenia. Tak postępowano w podobnych sytuacjach, ale Wicia była harda i poszła do sądu.

Pani Rozchodowska się zdenerwowała. Wynajęła jakichś parobków, a może zwyczajnych pijaczków, którzy zeznali przed sądem, że Wicia zawsze uganiała się za chłopakami i włóczyła się po krzakach z każdym chętnym, w tym także z nimi. Karola Rozchodowskiego oczyszczono z zarzutów, a Wicia nie miała czego szukać we wsi. Powiadano, że wylądowała w jednym z domów publicznych w Krakowie.

Zosia nie miała pojęcia, co to „dom publiczny”, a kiedy dziewczyny jej to wytłumaczyły, była wstrząśnięta.

Karol zainteresował się Zosią jesienią, niedługo po tym, jak pijany biegał z pistoletem i strzelał. Wtedy tak naprawdę zaczął ją przerażać, szczególnie gdy usłyszała, że to nie pierwszy raz i że kiedyś podobno nawet kogoś postrzelił.

Najpierw uśmiechał się do niej, więc speszona odwracała wzrok. Potem obłapiał ją, gdy udało mu się gdzieś ją przyuważyć. A najgorsze wydarzyło się w czasie kuligu karnawałowego, kiedy Zosia została sama w kuchni i pilnowała bigosu dla gości...

* * *

Ledwie zegar w gabinecie notariusza Zielińskiego zaczął wybijać dziesiątą, zaanonsowano pana Lutoborskiego, umówionego na tę godzinę. Od lat byli przyjaciółmi.

– Spisałem testament – oświadczył Lutoborski zaraz po przywitaniu. – Nowy testament unieważnia stary, prawda?

– Owszem. – Zieliński skinął głową. – Niemniej jednak zniszczę twój poprzedni testament. Pilnuję porządku w dokumentach. Jeśli masz jeszcze jakieś kopie lub inne wersje testamentu w domu, lepiej też je zniszcz – poradził.

Lutoborski skinął głową.

– Mam też opinie dwóch lekarzy, którzy zaświadczają, że jestem zdrowy na umyśle. Datowane na dziś, podobnie jak testament. I jeszcze jedną starszą opinię od Hehla.

Doktor Hehl był ich wspólnym przyjacielem.

Zieliński podniósł głowę i przyjrzał się Lutoborskiemu.

Dało się zauważyć, że ostatnio schudł nieco i był blady; ale kto nie jest blady wiosną? Lutoborski miał głowę na karku i sprawę testamentu potraktował z należytą dbałością. Mając taki majątek, nie powinien ryzykować. Zieliński był doświadczonym notariuszem i wiedział, jak opłakane skutki może przynieść zlekceważenie tej kwestii.

Lutoborski nie miał potomstwa, żony, rodziców ani rodzeństwa, a był najbogatszy wśród jego przyjaciół. Poza rozległym gospodarstwem miał imponujące sumy w bankach, udziały w fabrykach i dom w Krakowie. Taka fortuna nie mogła wpaść w przypadkowe ręce.

* * *

Zosia pomyślała, że to nie przypadek, iż nie mając dokąd pójść, trafiła nad rzekę. Ona mogła położyć kres jej nieszczęściu.

Zawsze bała się wody. Od dziecka wiedziała, że w rzece mieszkają utopce. To ci, którzy utonęli i już tam pozostali. Ich ciała

nie pochowano po bożemu, w poświęconej ziemi, więc tkwią w wodzie i służą siłom nieczystym – wciągają tam kolejne osoby.

Przez długi czas Zosia bała się wejść do rzeki choćby po kostki. Była przekonana, że utopiec może ją złapać i zaciągnąć na głębinę, żeby dołączyła do upiornego stada.

Dopiero Gulasowa wybiła jej to z głowy. Zrugowała ją, że powtarza te pogańskie zabobony, bo nawet niepochowany topielec idzie do nieba, jeśli wcześniej się wypowiedział i miał czystą duszę, co trochę pocieszyło Zosię. Spowiadała się wtedy tak często, że jej dusza musiała być czysta i w najgorszym wypadku spędziłaby trochę czasu w czyścicu. Ale gdyby sama się utopiła, nie miałyby co liczyć na czyściec. Samobójców czekało piekło.

Gulasowa o piekle opowiadała jeszcze chętniej niż o czyścicu. Zosia wiedziała, że jej była pracodawczyni nie widziała piekła na własne oczy i biorąc pod uwagę jej tryb życia, na pewno uniknęła go po śmierci, ale znała temat. Piekło było jamą pełną ognia, rozgrzanej smoły i zapachu siarki, gdzie rozlegają się jęki potępieńców i upiorny rechot diabłów. Zosia nie chciała tam trafić.

Na wszelki wypadek się cofnęła. Lepiej, żeby nie wpadła do rzeki, mając grzeszne myśli... Może był jakiś sposób, aby umrzeć, ale nie z własnej ręki? Ulec wypadkowi? Ale gdyby celowo naraziła się na śmierć, to tak jakby się zabiła...

No i czy musi umrzeć? To rozwiązałoby jej problemy, przynajmniej w tym doczesnym życiu, ale... tyle by ją ominęło... Choć przecież i tak wszystko ją omija i ominie. Czy Klemens będzie nadal ją chciał? Nie sądziła. A Klemens był najlepszym, co ją w życiu spotkało.

Dlaczego nie mogli się pobrać, zanim poszedł do wojska? Dlaczego poszła na służbę do Rozchodowskich? Dlaczego to wszystko tak się ułożyło?

Gdyby wtedy ciotka Marcjanna nie nalegała tak na wzięcie pierwszej posady, która się trafiła...

Ciotka Marcjanna... Na pewno słyszała o Karolu Rozchodowskim. Przecież kiedyś opowiadała jej o tej Wici Butrymównie...

Zosia uświadomiła sobie, że ciotka Marcjanna nie była bez winy. A teraz wyrzuciła ją z domu, mówiąc, że wdała się w ciotkę

Nowakowską, siostrę ojca, która mieszkała w Krakowie i miała nieślubną córkę.

Zosia słabo ją znała. Widziała zaledwie kilka razy w życiu, ostatnio na pogrzebie krewnego, który okazał się znajomym Gulasowej. Wdowa i jej sąsiadki lubiły pogrzeby, więc udały się i na ten, zabierając Zosię, która przecież była spowinowacana z nieboszczykiem.

Wtedy po raz pierwszy rozmawiała dłużej z ciotką Antoniną i jej córką Franciszką, która zaprosiła ją do nich, jeśli będzie kiedyś w Krakowie. Pokazała jej nawet, w której kamienicy mieszkają, nieopodal Rynku Kleparskiego, skąd żałobnice wracały do Zbuczyny.

Potem za każdym razem, kiedy Zosia była w Krakowie, zastanawiała się, czy nie zajść do krewnych, ale nie była pewna, czy wypada.

Teraz przyszło jej do głowy, że ciotka Antonina i jej córka to cała rodzina, jaka jeszcze jej została, gdy ciotka Marcjanna ją wypędziła.

Może powinna pójść do nich, do Krakowa? Tylko jak tak nagle i niespodziewanie odwiedzić krewną, którą rzadko widywała?

* * *

Zieliński osobiście odprowadził przyjaciela do drzwi. Miał jeszcze trochę czasu przed następnym spotkaniem i zastanawiał się, w jaki sposób mógłby kulturalnie wprosić się na kilka dni do Korczyc. Lubił tamtejsze świeże powietrze, łąki i lasy pełne zwierzyny łownej. I tę ciszę, i spokój, jakiej brakowało mu w mieście. Lutoborski zapraszał tam czasem przyjaciół, a oni chętnie składali mu wizyty.

Dla Zielińskiego te wyjazdy były jak zastrzyk energii. Wracał z nich pełen zapału, nawet jeśli jechał zmęczony i w ponurym nastroju.

Ostatnio źle sypiał i wszystko go drażniło. Tęsknił za kilkudniowym pobytem w Korczycach.

– Piękna pogoda, nic, tylko iść w las... – westchnął, wyglądając na wypełnioną słońcem ulicę. – Nie wybierasz się do Korczyc? –

spytał i od razu poczuł się niezręcznie, bo to było nazbyt bezpośrednie.

– W najbliższych dniach nie... – Lutoborski dostrzegł tęsknotę na twarzy przyjaciela, więc dodał: – Ale musimy się tam wybrać.

– Postrzelalibyśmy – powiedział Zieliński, zapalony myśliwy, niemal z prośbą w głosie.

– Postrzelamy! – Lutoborski się uśmiechnął. – Szukaj broń! Ja też naszykuję! – zapewnił przyjaciela, otwierając drzwi, i niemal zderzył się w nich z kolejnym interesantem, wachmistrzem c. k. żandarmerii Adolfem Banderem.

Uchylił kapelusza i wyszedł.

Wchodząc do domu, Teodor Lutoborski poczuł zapach przypalonego mleka. Kucharka wróciła.

Lutoborski poszedł do swojego gabinetu i napisał list. Włożył go do koperty, zakleił ją, zaadresował: „Marceli Rumejko” i położył na środku biurka. Potem zebrał leżące na biurku kopie testamentu, wyciągnął z szuflad papiery, które mogły być ich poprzednimi wersjami, i pobieżnie przejrzał. Zdjął z półki teczkę, w której trzymał informacje, zebrane wspólnie z Marcelem o jego krewnych, i zszedł z tym wszystkim do kuchni.

– Przyniosłem papiery do spalania – powiedział kucharce.

– Marcel nie napalił u pana w kominku? – zdziwiła się, otwierając drzwiczki pieca.

– Nie kazałem palić w kominku. Jest przecież koniec maja.

Wzruszyła ramionami. Gdyby ona była taka bogata, paliłaby w kominku przez cały rok. Lubiła ciepło, więc miała szczęście, że została kucharką. Siedziała w cieple i jeszcze jej za to płacono.

Bez słowa włożyła w ogień papiery, które podał jej chlebobdawca.

Spytał ją, co gotuje na obiad, jak zamierza to przyrządzić, i zasugerował kilka zmian, co wydało jej się dziwne. Takimi sprawami zajmował się Marcel. Zastanowiła się, czy chłopakowi coś nie dolega, skoro pan tak go dziś oszczędza i wyręcza...

Nie miała pojęcia, że pan gawędzi z nią tylko po to, żeby upewnić się, że wszystkie papiery w piecu doszczętnie spłoną i nikt im w tym nie przeszkodzi.

* * *

Zosia siedziała nad rzeką i płakała. Osaczały ją myśli, których nie mogła już dłużej odsuwać od siebie, tak były natarczywe. Coraz bardziej docierało do niej, jak ciężkie i nieszczęśliwe było jej życie. Wiedziała, że powinna wszystko znosić w pokorze i starać się o lepszy los w tym przyszłym, ważniejszym życiu, ale po dwudziestu jeden latach miała dosyć. Nie była w stanie już więcej znieść w pokorze.

Otarła łzy rękawem i ruszyła w stronę mostu.

Kiedyś słyszała o dziewczynie, która rzuciła się z mostu. Ktoś wtedy spytał, czemu akurat z mostu, i wytłumaczono mu, że najłatwiej się utopić, skacząc z mostu na głęboką wodę. Zosia nie miała wówczas pojęcia, że ta wiedza może jej się przydać.

Ruszyła zdecydowanym krokiem, ale im bliżej celu była, tym bardziej się wahała. Piekło, diabły... Może powinna spróbować czegoś innego? Na przykład pójść do ciotki Antoniny, do Krakowa, i tam znaleźć jakąś posadę?

Wychylona przez barierkę, patrzyła na rzekę, która szumiała kusząco. Miała ochotę skoczyć. Najwyżej pójdzie do piekła. A może Bóg się nad nią ulituje i pozwoli jej odpokutować w czyścicu? Przestraszyła się, że ta myśl może być bluźnierstwem. Samobójcy byli grzesznikami i sami siebie skazywali na potępienie...

Pożałowała, że utopce to tylko pogański zabobon. Gdyby naprawdę istnieli, mogliby wciągnąć ją pod wodę i to nie byłoby samobójstwo. I nawet gdyby miała zostać jedną z nich, to zawsze byłoby to lepsze niż piekło...

Z rozmyślań wyrwał ją stukot końskich kopyt i wesoły głos.

– Co tak patrzysz w wodę, dziewczyno? Uważaj, bo jeszcze diabła zobaczysz! Albo utopce cię do wody wciągną!

Zosia obejrzała się i zobaczyła Marcina, który zeszłego lata pracował przy żniwach u Rozchodowskich. Na jesieni ożenił się z panną z Czarnej Wsi i przeniósł się tam.

– Marcin?! – zdziwiła się. – Szczęść Boże! – pozdrowiła go.

– Dokąd idziesz? Może cię podwiozę?

Zawahała się. Nie powie przecież Marcinowi, że właśnie myśli o samobójstwie.

– Do Krakowa – skłamała. – Do krewniaczki.

– Do Krakowa? Właśnie tam jadę. Siadaj! – Marcin przesunął się na koźle. – Byłem u mamy i dała mi różnych rzeczy. Chcesz kukielkę?
– Sięgnął do zawiniątka. – Mama upiekła.

Chciała. Była głodna.

Niewiele myśląc, wgramoliła się na wóz.

Spojrzała na wieś, w której spędziła większą część życia, a którą teraz opuszczała. Na pola i las. I rzekę, w której chciała się utopić.

Postanowiła sprawdzić, co ją czeka w Krakowie.

Najwyżej tam się zabije...

„W Krakowie jest głębsza rzeka i nikt mnie tam nie zna, więc nie będzie takiego wstydu po śmierci – pomyślała trzeźwo, a potem przypomniała sobie teorię Bielackiej, że wszystko pozostaje w równowadze, i zastanowiła się nad tym. – Jeśli się nie zabiłam, a chciałam to zrobić, to czy teraz zamiast mnie zabije się kto inny?”

* * *

Teodor Lutoborski wrócił do swojego gabinetu i wyciągnął z szuflady pistolet. Przyłożył go do skroni i już miał nacisnąć spust, gdy przypomniał sobie zasłyszaną historię jakiegoś pechowca. Człowiek ów strzelił sobie w skroń, ale kula utknęła w kości i sprawiła, że niedoszły samobójca przeżył. Wolał tego nie ryzykować.

Przyłożył lufę do oka. W nim nie było żadnej kości i nic nie mogło stanąć na przeszkodzie kuli.

Nacisnął spust i spłoszone hukiem gołębice sfrunęły z parapetu.

Marcel, który właśnie czyścił buty, zerwał się na równe nogi. Hani, sprzątającej w sieni, wypadła z ręki szmata, a kucharka podskoczyła na krześle.



II

Na widok pracodawcy w kałuży krwi Marcelowi zakręciło się w głowie. Lutoborski leżał bezwładnie obok biurka, z nogą zahaczoną o przewrócone krzesło. W wyciągniętej dłoni ścisnął pistolet.

Łzy popłynęły po twarzy Marcela. Chciał ratować pana, wskrzesić go... Oddałby mu własne życie...

Ale wiedział, że nie czas i miejsce na rozpacz.

Hanka, gdy się pozbiera, zaraz tu będzie. Kucharka też, a ta, licho wie, co pomyśli, widząc go nad zastrzelonym panem...

Starannie otarł łzy i rozejrzał się.

Na biurku leżała koperta z jego nazwiskiem. Niewiele myśląc, schował ją do kieszeni.

W tym momencie nieśmiało weszła Hania. W ręku ścisnęła szmatę do podłogi.

– Co się sta... – zaczęła i urwała, stając jak wryta.

– Nie gap się! – warknął na nią Marcel. – Leć szybko po doktora Hehla! No już!

Nadal stała w drzwiach, trzęsąc się jak w gorączce, a za nią pojawił się Wicek. Zajrzał do środka i zaklął.

– A ty co, nygusie? – zrugął go Marcel. – Nie bluźnij, tylko sprowadź doktora Hehla! Biegiem, głąbie!

Wicek bez słowa odwrócił się na pięcie i zbiegł po schodach, omal nie przewracając kucharki, która stanęła w drzwiach i od razu

uderzyła w płacz.

– Tu księdza trzeba, nie doktora! – zaszlochała.

– Hanka, nie stój tak! – wrzasnął Marcel do osłupiałej dziewczyny. – Sprowadź tu zaraz księdza prałata!

– Prałata?! – Hania wytrzeszczyła oczy i Marcel naprawdę się zdenerwował.

– Dobra, ja sprowadzę prałata! A ty rusz się wreszcie i leć po pana Zielińskiego!

– Pana Zielińskiego?

– On będzie wiedział, co robić – wyjaśnił Marcel. – I zostaw tę szmatę, na litość boską! A wy – zwrócił się do kucharki. – Zostańcie tutaj i ani się ważcie dotykać pana.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

– Bo jak przyjdą żandarmi, to mogą szukać winnego – dodał surowo.

Kucharka podskoczyła jak oparzona.

Marcel wybiegł z budynku, popędzając zdezorientowaną Hanię.

Miał szczęście, dostrzegł prałata na ulicy nieopodal, w towarzystwie nobliwych dam.

– Księżę prałacie! – wołał już z dala, biegnąc.

Prałat Henryk Rozchodowski odwrócił się zaskoczony.

– Z panem jest źle! – wykrztusił Marcel. – Umiera!

Rozchodowski zamarł. Wiedział, że Marcel nie opowiada głupot. Znał go od lat.

– Jak to umiera? – spytał zaskoczony.

– Proszę... Szybko... – Marcel niemal pociągnął duchownego.

– Ale prałat ma inne plany – odezwała się jedna z dam.

– Do umierającego trzeba w pierwszej kolejności – pouczył ją Rozchodowski, ruszając do domu przyjaciela najszybciej jak mógł. –

Co mu się stało? – spytał Marcela.

– Zastrzelony – odparł Marcel zniecierpliwiony.

– Zastrzelony?! – powtórzył zaskoczony prałat i jeszcze przyspieszył kroku.

* * *

Ciotka Antonina mieszkała na Długiej. Marcin podwiózł Zosię pod bramę. Zsiadła z wozu i rozejrzała się niepewnie. Nie była tu od tamtego pogrzebu.

Weszła w podwórko i dostrzegła posagową postać przy wejściu do oficyny. Od razu poznała kuzynkę Franciszkę, choć nie widziała jej od lat. Rzadko się spotykały, ale za każdym razem Zosia dziwiła się, jak ogromna jest Franciszka, i odnosiła wrażenie, że od poprzedniego spotkania jeszcze urosła.

Ona, od dziecka niedożywiona, była niska i szczupła. Mieszkając u Gulasowej, skąpej i praktykującej posty, Zosia była wręcz chuda, ale później, u Rozchodowskich, gdzie pracowała w kuchni, trochę przybrała na wadze, choć nadal pozostawała drobna.

Tymczasem Franciszka już jako dziecko była nad wiek rozwinięta, a teraz przewyższała wzrostem nie tylko Zosię i chyba wszystkie znane jej kobiety, ale też wielu mężczyzn. Na przykład chudego jegomościa, który rozmawiał z nią przed bramą. Choć nie był karłem, miał głowę na wysokości obfitych piersi Franciszki, od których najwyraźniej nie mógł oderwać wzroku.

Zosia zobaczyła, jak Franciszka pochyła się, żeby mu coś powiedzieć, obraca się na pięcie i wchodzi do budynku.

Nieznajomy został w progu, wpatrując się w bramę, w której zniknęła.

Weszła do kamienicy za Franciszką i usłyszała skrzypnięcie drzwi na górze. Idąc po schodach, zastanawiała się, co powie, a im była bliżej, tym bardziej miała ochotę zawrócić i uciec.

Przystanęła przed drzwiami z szyldem, na którym widniały igła i napastrzek, ciągle niezdecydowana, i stała tak przez chwilę, aż drzwi się otworzyły. Wyszła z nich kobieta, która Zosi wydała się elegancka, a zza drzwi wychynęła Franciszka.

– Dzień dobry pani – zwróciła się do Zosi, która zdumiona odpowiedziała na powitanie.

Franciszka patrzyła na Zosię pytająco, zastanawiając się, skąd ją zna, aż sobie przypomniała.

– Zosia? – upewniła się. – Zosia od wujka Walka?

Zofia przytaknęła.

– W końcu do nas przyszłaś! – ucieszyła się Franciszka. – Mamuś! – zawołała w głąb mieszkania. – Mamuś, nie uwierzysz, kto przyszedł! Zosia!

– Zosia? – Ciotka Antonina, ciekawa, co to za Zosia, wynurzyła się z wnętrza mieszkania, które jej bratanicy wydało się bajkowe.

W obszernym przedpokoju wisiały suknie i Zosia poczuła się jak w wielkiej szafie. W głębi mieszkania, w pokoju, na stole, na parapecie i w wazonach na podłodze widać było fantastyczne bukiety z niezwykłych kwiatów.

Zosia zaniemówiła z wrażenia. Ledwie zdołała się przywitać z zaskoczoną ciotką, która od razu spytała ją, czy jadła obiad.

– My już po, ale coś się znajdzie, żebyś głodna nie była. – Franciszka postawiła na stole talerze z chlebem i serem. – Co u ciebie? Jak żyjesz?

Zosia sama nie wiedziała, co powiedzieć, i rozglądała się tylko. Nigdy nie była w tak niezwykłym miejscu, wypełnionym koronkami, kwiatami, haftami i poduszkami.

– Jakie to wszystko piękne... – szeptała zachwycona. – Takich kwiatów nigdy jeszcze nie widziałam. Nie wiedziałam, że maki mogą być niebieskie, a bławatki żółte i czerwone. U nas na wsi takie nie rosną...

Gospodyni się uśmiechnęła.

– Nigdzie takie nie rosną. Frania robi te kwiaty z bibuły, perkalu i wszystkiego, co jej się podoba.

– Frania robi takie cuda? – Zosia popatrzyła na misterne płatki, a potem wielkie ręce kuzynki, zastanawiając się, jak to możliwe, że robią one tak delikatne i niezwykle rzeczy. Oglądała z podziwem sztuczne kwiaty i haftowane obrazy Franciszki, potem koronkowe poduszki i serwety, które były dziełami jej ciotki, a na koniec suknie szyte dla klientek.

* * *

Pierwszy przybył doktor Hehl. Mieszkał w sąsiedniej kamienicy.

Ledwie rzucił okiem na ciało i orzekł trzeźwo:

– Nic tu już po mnie. Raczej księdza tu trzeba. – Spojrzał na Wicka. – Sprowadź prałata Rozchodowskiego.

Zapłakana kucharka zaintonowała *Wieczne odpoczywanie*.

– Marcel już poleciał po księdza prałata – poinformował lekarza Wicek.

Istotnie, prałat właśnie wspinał się po schodach sprężystym krokiem. Podobnie jak doktor Hehl, notariusz Zieliński i – do niedawna – Lutoborski lubił zażywać ruchu na świeżym powietrzu. Od lat we czwórkę udawali się do Korczyc, aby wspólnie chodzić po lasach, jeździć konno i polować...

Prałat ledwie spojrzał na zebranych, jego uwagę całkowicie pochłonęło leżące na podłodze ciało przyjaciela z częściowo odstrzeloną twarzą i pistoletem w dłoni.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, przeżegnał się i dopiero wtedy podniósł wzrok na służbę i doktora Hehla, który ukłonił mu się bez słowa.

– Nie żyje? – spytał prałat, raczej dla formalności.

Hehl potwierdził.

– Strzał w głowę. Śmierć przyszła natychmiast – orzekł. – Trzeba sprowadzić żandarmerię – dodał, spoglądając na służbę.

Kucharka odruchowo się cofnęła. Trzymała się z daleka od żandarmów. Uważała, że uczciwi ludzie nie powinni mieć z nimi nic wspólnego.

Marcel wyjrzał i ze zdumieniem zobaczył na schodach pióropusz wachmistrza żandarmerii. Za nim dreptała Hania. Czyżby sama z siebie sprowadziła żandarma? Marcel się zdziwił, bo dziewczyna była mało rozgarnięta.

Dopiero gdy zobaczył idącego wraz z nimi notariusza Zielińskiego, uznał, że to musiał być jego pomysł.

* * *

– Dalej służysz u tej wdowy? – wypytywała Zosię ciotka Antonina. – Jak jej było?

– Gulasowa – przypomniała Zosia. – Umarła trzy lata temu. Poszłam na służbę do dworku. Na podkuchenną.

– Na podkuchenną. – Ciotka pokiwała głową z uznaniem. – Dobrze. Przyuczysz się na kucharkę. Dobra kucharka zawsze w cenie... – Urwała, widząc zmieszanie Zosi.

– Już tam nie pracuję – bąknęła dziewczyna. – Muszę znaleźć nową posadę i pomyślałam, że może... poszukam w Krakowie? – Zamilkła onieśmielona.

– Czemu nie pracujesz? – zdziwiła się ciotka. – Co się stało?

Zosia wbiła wzrok w talerz. Starła się powstrzymać łzy, ale one popłynęły.

– Co się stało? – zainteresowała się Frania, wchodząc do pokoju z kolejnymi talerzykami.

Zosia szlochała, niezdolna cokolwiek powiedzieć, a ciotce Antoninie przypomniało się, jak kiedyś, ponad dwadzieścia lat temu, to ona tak płakała, nie umiejąc powiedzieć, czemu już nie służy u państwa Ogońskich.

– Franiu! – zwróciła się do córki. – Przynieś nam... – zastanowiła się, po co może wysłać córkę, żeby zająć ją na pewien czas i porozmawiać z Zosią na osobności. – Przynieś nam konfitur ze spiżarni.

– Konfitur? – zdziwiła się Frania. – Jakich znowu konfitur?

– Są w spiżarce – powiedziała ciotka z przekonaniem. – Na tej półce co mąka...

Franciszka wyszła, mrużąc pod nosem:

– Nie wiedziałam, że mamy w domu jakieś konfitury...

Ciotka tymczasem zaczęła wypytywać Zosię.

– Wyrzucili cię, prawda?

Jej bratanica skinęła głową.

– Przez chłopca cię wyrzucili?

Zaskoczona Zosia kiwnęła głową.

– Co to za jeden? Ożeni się z tobą? – Ciotka zasypywała Zosię pytaniami, zerkając, czy Frania nie nadchodzi, ale zgodnie z jej prognozami dziewczyna nie mogła znaleźć w spizarce konfitur, których, tak jak myślała, wcale tam nie było.

– Będziesz mieć dziecko, prawda? Kiedy?

Zosia zamarła ze zdziwioną miną.

– Nic się nie martw! – pocieszyła ją ciotka. – Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Wiem, co mówię. Przecież tak miałam moją Franię.

Odwróciła się i zobaczyła swoją córkę stojącą w drzwiach z oczami jak spodki.

– Zosia będzie miała dziecko? Z kim? Co to za jeden? – Teraz ona zasypywała kuzynkę pytaniami.

Zosia nic nie mówiła. Łzy płynęły jej po twarzy i zastanawiała się, czy to wszystko dzieje się naprawdę. Miała nadzieję, że nie. Że to straszny sen, z którego się obudzi.

– Wyszłaś za męża? – zapytała Franciszka. – Wyjdiesz? – sprostowała.

– Nie wiem... – zaszlochała Zosia. – Miałam wyjść za męża, ale wzięli go do wojska, a tymczasem pan... – wyrzucała z siebie przez łzy. – I teraz już nie wiem...

* * *

– Nie żyje? – Wachmistrz raczej to orzekł, niż spytał, po czym rozejrzał się wokół. – Czy ktoś widział, co się wydarzyło?

Nikt nie widział. Wicek najgłośniejszy o tym zapewniał, a wtórowały mu płaczące kucharka i Hania.

– Pan był tu sam – powiedział Marcel, najbardziej opanowany z domowej służby. – Wszedłem zaraz po usłyszeniu huku i znalazłem go na podłodze.

– Czy został poruszony?

– Nie – odparł Marcel. – Niczego nie dotykałem – skłamał, myśląc o liście, który schował w kieszeni. – Posłałem po lekarza, po księdza i po pana Zielińskiego.

– Prawidłowo – pochwalił go wachmistrz.

Przyjrzał się zmarłemu, który wydał mu się znajomy. Przykucnął więc, by zobaczyć tę część jego twarzy, której strzał nie uszkodził.

Nie był to nikt z jego bliskich. Wachmistrz odetchnął z ulgą. Jednak musiał gdzieś go spotkać... całkiem niedawno... Tylko gdzie i kiedy?

– Kiedy padł strzał, byłem na dole – opowiadał Marcel. – Czyściłem buty.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Widziała to służąca, która myła podłogę. – Marcel wskazał na Hanię, która skinęła głową.

– Usłyszeliśmy huk na dole... – zaszlochała. – Marcel od razu poleciał zobaczyć, co się stało, ale nie wracał, to ja też przyszedłam... – Zalała się łzami.

– Kto jeszcze mógł być w pokoju? – Chciał wiedzieć wachmistrz.

Służba zapewniała, że nikt. Wicek był na zewnątrz. Smarował zawiasy w drzwiach wejściowych, bo skrzypiały. Kucharka pracowała w kuchni, a Marcel i Hania widzieli się nawzajem.

Gdyby ktoś z zewnątrz wszedł wtedy do domu, musiałyby przejść obok Wicka, Marcela i Hani, więc na pewno zostałyby zauważony.

Wachmistrz zbierał te informacje i poszukiwał kolejnych. Przecież ktoś z zewnątrz mógł przyjść tu wcześniej i może nawet stąd nie wyszedł?

– Ale... to przecież pan strzelał – odezwał się w końcu Wicek.

Żandarm spiorunował go wzrokiem, a Marcel zrugął.

Chłopak zamilkł speszony, a wachmistrz wyprosił służbę za drzwi.

– Przesłucham ich pojedynczo – zdecydował, po czym przyjrzał się mężczyznom zebranych w pokoju.

Wszyscy byli prominentnymi i szanowanymi obywatelami. I, zdaje się, dobrze znali denata.

– Możliwe, że został zamordowany – oświadczył wachmistrz. – Ale raczej wygląda na to, że sam się zastrzelił.

Milczeli, bo wydawało się to oczywiste. Podejrzewali, że żandarm próbuje prowadzić jakieś śledztwo tylko dlatego, że tego wymaga jego praca. Wachmistrz czuł, że tak właśnie sądzą, więc na swoje usprawiedliwienie dorzucił:

– Oczywiście ktoś mógł mu włożyć pistolet do ręki po śmierci. Prałat i Zieliński przytaknęli, ale doktor powiedział:

– Innej osobie trudno byłoby tak ułożyć mu palce. Wygląda na to, że sam trzymał broń. Palce zeszywniały mu w taki sposób. – Wskazał.

Wachmistrz pokiwał głową.

– Wszystko przemawia za tym, że to wypadek przy czyszczeniu broni – stwierdził. – Musiał zajrzeć do lufy, a wtedy broń wypaliła. To się zdarza.

Przyjaciele Lutoborskiego tylko kiwali głowami.

– Oczywiście mogło to być też samobójstwo... – zaczął żandarm.

– Samobójcy raczej nie strzelają sobie w oko – przerwał mu nerwowo doktor Hehl. – Miałem do czynienia z takimi wypadkami i... w takich sytuacjach strzela się w skroń.

– To prawda – przyznał wachmistrz, nie chcąc wyjść na mniej obytego. – Samobójcy strzelają sobie w skroń.

Ciągle zastanawiał się, gdzie spotkał denata. W swojej pracy widywał wiele osób i choć miał dobrą pamięć do twarzy, to czasem trudno było mu przypomnieć sobie, gdzie te twarze zapamiętał.

– To ciekawe – odezwał się notariusz. – Dopiero co był u mnie... Wyszedł może przed godziną.

Doktor Hehl i prałat Rozchodowski spojrzeli na niego zaskoczeni, ale jeszcze bardziej zaskoczony był wachmistrz Bander. Już wiedział, gdzie spotkał tego człowieka. Minał się z nim w drzwiach u notariusza.

„Postrzelamy! Naszykuję broń!”, mówił tamten, wychodząc.

Wachmistrz miał teraz przed oczami całą tę scenę. Jeszcze raz przyjrzał się nieuszkodzonej części twarzy nieboszczyka. Był już teraz całkowicie pewien, co się zdarzyło. Wszystko złożyło się w spójną i logiczną całość. Żandarm lubił jasne sytuacje.

Ten nieszczęśnik wrócił do domu i podekscytowany planami od razu wyciągnął broń. Tylko czemu pistolet? Polowali w tych Korczycach z pistoletami czy co? To wachmistrzowi nie pasowało, ale uznał, że być może nieboszczyk znalazł pistolet, szukając innej broni, i zajął się nim.

Niestety zajrzał w lufę i broń wypaliła. Straszny pech. I głupota. Kto zagląda w lufę pistoletu, który może wystrzelić? Niektórzy ludzie nie powinni mieć dostępu do broni...

* * *

Franciszka złożyła wszystko w całość szybciej niż jej matka i zawołała z oburzeniem:

– Pójdziemy do sądu!

– Nie! Nie! Nie! – Zosia natychmiast zaprotestowała. – Nie do sądu!

Franciszka wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Sąd też dla ludzi!

– Rozchodowscy mają pieniądze i znajomości – szepnęła przejęta Zosia. – Prości ludzie nie dadzą im rady. Nam zawsze jest krzywda – stwierdziła z przekonaniem i pokrótce streściła Franciszce losy biednej Wici Butrymówny, kończąc morałem, jaki wyciągano z tej historii: „Od tej pory żadna dziewczyna nie próbowała się z nimi sądzić”.

– Żadna dziewczyna? – powtórzyła zdumiona Franciszka. – To ich było więcej?! I nic nie zrobiły? Przecież mogły się skrzyknąć i chyba żaden sąd nie stwierdziłby, że pół wsi kłamie, a ten Rozchodowski jest niewinny jak owieczka...

Zosia spuściła wzrok, a ciotka Antonina poparła jej podejście.

– Daj spokój, Franka! – zgasiła córkę. – Jakoś sobie poradzimy! – zapewniała Zosię.

– Jak to? Puście mu to płazem?! – Franciszka nie mogła uwierzyć w coś takiego.

Jednak jej matka i kuzynka nie chciały słyszeć o żadnym sądzie ani nawet o rozmówieniu się z Karolem Rozchodowskim.

Pomyślała, że wróci do tematu, kiedy Zosia się uspokoi. Ona tymczasem wspomniała coś o tym narzeczonym w wojsku.

– Tylko czy on mnie teraz będzie chciał? – Martwiła się.

– Jeśli cię kocha, to będzie – pocieszyła ją Franciszka. – A jak nie, to znaczy, że przygłup z niego – dodała.

Ciotka Antonina zmarszczyła brwi.

– Franka... – westchnęła. – Niby dorosła panna, a nic nie rozumie – powiedziała do Zosi. – Zakochasz się, to sama zobaczysz, że to wcale nie jest takie proste – zgaśniła córkę.

– To jest bardzo proste – mruknęła Frania. – Tylko ludzie niepotrzebnie wszystko komplikują.

Wyszła do kuchni, bo wiedziała, że nie ma co dyskutować z tymi kobietami, przekonanymi, że tyle wiedzą o miłości, przez którą cierpią. A przecież wcale nie musiały.

Obie niby takie były zakochane, a jak przyszło co do czego, to nawet nie wiedziały, czy w ogóle mogą liczyć na tych swoich rycerzy. Matka już wiedziała, że nie może. Zosia dopiero to podejrzewała.

I tyle wiedziały o miłości!

Franciszka zerknęła na nie ze współczuciem. Od kilku lat była zakochana z wzajemnością. Coraz częściej dochodziła do wniosku, że wie o miłości więcej niż wszystkie te stateczne kobiety i romantycznie zakochane dziewczęta, które uważały się za mądrzejsze od niej – tylko dlatego, że ona nie miała męża ani narzeczonego.

A ta ich wiedza brała się stąd, że ciągle albo cierpiały przez swoją miłość, albo żyły w niepewności i płakały po kątach, zadręczając się obawami. Tymczasem ona, według nich taka nieświadoma, była szczęśliwie zakochana.

* * *

Stali we trzech nad ciałem i każdy z nich myślał o tym samym, ale żaden nie zdradziłby swoich myśli.

– Był u ciebie przed godziną? – spytał w końcu prałat Zielińskiego.

Notariusz przytaknął.

– Przyszedł o dziesiątej. Spisał testament, uporządkował swoje sprawy... Wszystko bardzo dokładnie uporządkował... – westchnął Zieliński. – Miał nawet datowane na dziś opinie lekarzy, że jest zdrów na umyśle. Zupełnie jakby wiedział, że ma umrzeć.

Hehl lekko pobleadł.

– Wiedział – odezwał się cicho.

Notariusz i prałat spojrzeli na niego zdumieni.

– Teodor był umierający – wyjaśnił lekarz. – Nic wam nie mówił?

– Nie – odpowiedzieli niemal równocześnie.

Obaj gorączkowo przypominali sobie niedawne rozmowy ze zmarłym i do obu nagle docierało wiele szczegółów, które wydawały im się bez znaczenia, a teraz okazywały się istotne. Zieliński nerwowo skubał kieszenie. Prałat pocierał skronie.

– Co mu było? – spytał.

– Rak – odparł Hehl. – Zostało mu niewiele czasu. Pożyłby może nawet kilka miesięcy, ale choroba postępowała, a on coraz bardziej cierpiał – dodał lekko zachrypłym głosem. – Mogło mu się pogorszyć – westchnął. – Mówiłem mu prawdę, bo tego sobie życzył, i dotrzymałem tajemnicy lekarskiej, ale teraz... Chyba mogę wam powiedzieć.

Prałat skinął głową.

– Jak najbardziej. To nam pozwoli wiele zrozumieć... – Urwał, a Hehl i Zieliński spojrzeli na niego z uwagą.

Wyglądało na to, że wszyscy pomyśleli o tym samym, ale żaden z nich nie powiedział tego na głos. Lutoborski był ich przyjacielem i uważali za oczywiste, że ta lojalność obowiązuje nadal. Wydawało się logiczne, że jeśli Lutoborski umierał i nic nie mógł na to poradzić, to po prostu wolał skrócić cierpienie, kiedy nie mógł już go znieść. Wszystko wskazywało na to, że właśnie to zrobił i nawet specjalnie nie krył, że to planował. Spisał testament, poszedł do notariusza i jeszcze tego samego ranka zdążył odwiedzić dwóch lekarzy.

– Mógł pożyć jeszcze kilka miesięcy – odezwał się nagle prałat Rozchodowski – a tu przytrafił mu się taki wypadek.

Zieliński i Hehl byli skonsternowani, ale pokiwali głowami z aprobatą.

– Jeszcze dziś, przed godziną, umawialiśmy się do Korczyc – podchwycił Zieliński. – Na polowanie. Powiedział, żeby szykować broń...

– No to szykował – podjął skwapliwie Hehl.

Wszyscy dobrze wiedzieli, że Lutoborski nie polował z pistoletem, ale prałat dorzucił:

– Jeśli robił plany, to znaczy, że chciał jeszcze pożyć.

– Nie był typem... samobójcy – wtrącił Hehl z lekkim wahaniem. Z trudem mu przeszło przez gardło to ostatnie słowo.

– Nie był – zgodzili się jego przyjaciele, choć wszyscy wiedzieli, że nie był też typem człowieka, który bezmyślnie zagląda w lufę nabitej broni, trzymając palec na spuście.

– Dobrze, że zdążył uporządkować swoje sprawy – orzekł Zieliński.

– Nie wszystkie – mruknął prałat. – Nie wypowiadał się.

– Nie przewidywał, że umrze – powiedział Zieliński, przecząc temu, co mówił wcześniej, ale pozostali pokiwali głowami.

* * *

– Nic się nie martw – pocieszała przygnębioną Zosię ciotka Antonina.
– Jakoś sobie poradzimy! Przyuczmy cię z Franią, pomożesz nam. Mamy teraz dużo klientek i myślałyśmy, żeby przyjąć kogoś do pomocy. Mnie kiedyś tak przygarnęła pani Kurkowska... Świeć Panie nad jej duszą! – Przeżegnała się. – To była dobra kobieta! Też mnie wyrzucili z domu, gdzie służyłam, a ona mnie przyjęła, przyuczyła i przez szesnaście lat z nią pracowałam... A po śmierci wszystko mi zostawiła, zakład, klientki... No i mogłam wychować moją Franię. Teraz więc ja pomogę tobie – postanowiła.

Wdzięczna Zosia pocałowała ją w rękę, choć nie wszystkie szczegóły tej historii chciałyby włączyć do swojej. Ciągłe nie bardzo rozumiała kwestię „dziecka”. Do niedawna żyła w przekonaniu, że dzieci Bóg zsyła ludziom, którzy żyją w małżeństwie. Długo nikt jej nie uświadomił, skąd właściwie się biorą. Matka umarła, gdy Zosia była dzieckiem, Gulasowa nie poruszała takich tematów, pierwszych informacji udzieliły jej dopiero dziewczęta służące u Rozchodowskich.

Jednak zupełnie nie odnosiła tego do siebie, dopóki inni nie zaczęli się jej przyglądać i rzucać jakieś uwagi. Kiedy Eufemia Rozchodowska wezwała ją do siebie i zwolniła z pracy, Zosia dopiero

zaczynała się zastanawiać, czy rzeczywiście coś w tym jest i czy naprawdę będzie mieć dziecko. Wydawało jej się to jednak tak nierealne, że starała się w ogóle o tym nie myśleć.

Tymczasem w Zbuczynie zatrudniano nową podkuchenną. Na miejsce Zosi, o której koleżanki szeptały po kątach.

Pani Eufemia nie miała szczególnych wymagań, choć Bielacka chciała taką, która zna się choć trochę na kuchni.

– Każda dziewczyna się zna – orzekła Rozchodowska.

Przyjrzała się kandydatkom i od razu wiedziała, którą wybierze. Tylko jedna była ładna. I wyglądała na cichą i nieśmiałą.

Kucharka Bielacka nie miała pojęcia o tych kryteriach doboru. Była uczciwą i prostolinijną kobietą, która dużo rozmyślała i układała sobie świat. Zgodnie z jej teorią wszelkie odchylenia od równowagi na tym świecie były wyrównywane na tym drugim, lepszym. Albo gorszym, w przypadku grzeszników.

Na ziemi grzech zatajony przez kogoś przypisywano komuś innemu. I nawet jeśli nie zrobiono tego od razu, to taki grzech „wisał w powietrzu” i zawsze ktoś mógł ponieść za niego odpowiedzialność. Było mu to wynagradzane po śmierci, ale ten, który zrzucił na niego winę, był z tego surowo rozliczany. Najsprawiedliwiej było, jeśli za grzech odpowiadał ten, kto go popełnił, i jeśli zrobił to jeszcze tutaj, na tym świecie.

Lepiej było dopilnować, żeby zapłacić wszystkie swoje należności na ziemi i nie zabierać ich ze sobą tam, gdzie ceny występków i nieprawości mogą być wyższe...

* * *

W domu na Grodzkiej zdenerwowana służba siedziała w kuchni, czekając, aż wachmistrz wezwie ich na przesłuchanie.

Wszyscy zerwali się, słysząc ruch na schodach, i wyjrzeni z kuchni.

Wachmistrz wychodził, a wraz z nim notariusz Zieliński.

Ostatni opuścił dom doktor Hehl, choć nie zwlekał długo po wyjściu prałata Rozchodowskiego, który już na schodach obmyślał

kazanie, jakie wygłosi na pogrzebie przyjaciela. Na pięknym katolickim pogrzebie w poświęconej ziemi.

Grzech samobójstwa został ukryty przez wszystkich trzech, a nawet czterech, licząc Marcela, który nie był w ciemę bity i domyślił się, co zaszło. Kiedy dorastał, Lutoborski nieraz przestrzegał go przed zaglądaniem w lufę nabitej broni, twierdząc, że tak robią tylko najgłupsze głąby.

Czy teraz, gdy grzesznikowi, który targnął się na swoje życie, uszło to na sucho, za samobójcę miał zostać uznany ktoś, kto nim nie był?

Grzech samobójstwa zawisł w powietrzu i czekał, aż zostanie komuś przypisany.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji

Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)